

„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

GAZETA KRAKOWSKA

ul. Wielopole 1

31-072 Kraków

2 7 5

25 -11- 92

Nr z dn.



Teatr

Scena Teatru Ludowego przy ul. Kanoniczej 1 skupia młodą publiczność ze Śródmieścia. I o to właśnie chodziło dyrektorowi Jerzemu Fedorowiczowi, by nowohucki teatr na stałe wszedł w stare zaułki Krakowa. Pierwsze próby udały się znakomicie. Tym bardziej, że na pierwszy ogień poszła sztuka przygotowana przez Jacka Wojciechowskiego zatytułowana „Nie brooklyński most”. Cóż to takiego?... Poezja i proza Edwarda Stachury upiękuszona dobrą muzyką, w wykonaniu samego reżysera i pomysłodawcy spektaklu, któremu na scenie dzielnie sekundują muzycy: Jerzy Kluzowicz i Wiesław Murzański.

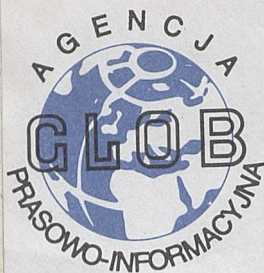
Obserwując szczerze wypełnioną widownię (około 100 osób) i spontaniczną reakcję młodych ludzi, doszłam do wniosku, iż właśnie takie kameralne przedstawienia cieszą się popularnością i z pewnością będą zyskiwać szerokie zainteresowanie. Jacek Wojciechowski (po amery-

kańskim tournée) okrzepł, stał się firmą dla samego siebie. Firmą bardzo dobrą. Premiera „Nie brooklyńskiego mostu” stała się tego potwierdzeniem. Publiczność nie pozwoliła przez kilkanaście minut zejść aktorowi ze sceny, podśpiewując piosenkę, którą właśnie przed kilkoma minutami przedstawił im Jacek.

„Ja sobie pójdę, precz daleko...” odgrąali się młodzi wielbiciel talentu Wojciechowskiego. Nie było rady. Musiał on kilkakrotnie, po męczącym całonocnym występie, raz jeszcze i jeszcze raz pojawić się na scenie. Oklaski, kwiaty a potem autografy.

Wojciechowski sprawdził się i sprawdził swoje umiejętności. Zapraszam więc na jego spektakle „Nie brooklyńskiego mostu” przy ul. Kanoniczej 1 w Krakowie, na małej scenie Teatru Ludowego.

MAGDALENA LINK



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

26

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

GAZETA W KRAKOWIE

dodatek do "Gazety Wyborczej"

31-009 Kraków
ul. Szewska 5

Nr z dn.

172 25 - 07 - 97

25-27 lipca



ANNA WŁOCH

Edward Stachura – takiego wykonania jeszcze państwo nie słyszeli! – reklamuje kolejny punkt letniego repertuaru Scena pod Ratuszem Teatru Ludowego. W piątek, sobotę i niedzielę o g. 19.30 Jacek Wojciechowski (na zdjęciu) przedstawi autorski spektakl „Nie Brookliński most”, oparty na prozie i poezji Steda. Przedstawienie, które powstało przed kilku laty, doczekało się rejestracji na kasie i płycie CD. Sympatię widzów spektakl zawdzięcza zarówno tekstom Edwarda Stachury, jak i śpiewającemu oraz grającemu na gitarze Jackowi Wojciechowskiemu oraz Jerzemu Kluzowiczowi (fortepian) i Wiesławowi Murzańskiemu (kontrabas i wiolonczela).

KR



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

NOWY
CZAS KRAKOWSKI

ul. Pijarska 9
31-015 KRAKÓW

Nr 48 z dn. 08-09-97

26

W teatrze

Stachura uliryczniony

Oj, coś mi się wydaje, że przez całe tegoroczne lato nie wyjdę z podziemi wieży Ratuszowej (do których nb. również wlewała się woda podczas licznych oberwań chmury nad Krakowem). Podczas gdy niemal wszystkie teatry w naszym mieście mają przerwę urlopową, w samym centrum podwawelskiego grodu regularnie rozbrzmiewają nuty bardziej i mniej znanych przebojów.

Pisałem już o wielce udanym wieczorze kabaretowym, opartym na tekstach Mariana Hemara i o brawurowym wykonaniu piosenek musicalowych. Oba te spektakle firmował Teatr Ludowy. Kolejną premierę przygotowała agencja artystyczna „S’Art” Sylwii Salwińskiej, ale wystąpił w niej także aktor nowohuckiej sceny Jacek Wojciechowski, jeden z filarów zespołu „Kurtyma Siemiradzkiego”, o którego osiągnięciach informowaliśmy obszernie na łamach „Czasu”.

Na „Scenie pod Ratuszem” Wojciechowski przygotował spektakl muzyczny pt. „Nie Brookliński most”, składający się z 15 piosenek Edwarda Stachury, skomponowanych przez Marka Gałgkę, Adama Sławińskiego i Jerzego Satanowskiego. Aktorowi towarzyszą Jerzy Kluźowicz na fortepianie (zarazem autor aranżacji muzycznych) oraz Wiesław Murzański na kontrabasie i wiolonczeli. Najbardziej popularne utwory Stachury przeplatane są trafnie dobranymi przez Wojciechowskiego fragmentami prozy „Steda”. Wychodząc z Ratusza można kupić kasety magnetofonową lub płytę CD z ich nagraniami, dokonanymi w studio.

Często tak bywa, że słuchając dobrze sobie znanych piosenek automatycznie porównujemy ich nowe interpretacje z tymi wykonaniami, które zapadły w naszą pamięć dużo wcześniej, stanowiąc coś w rodzaju wzorca. W przypadku utworów Stachury takim wzorcem jest dla mnie kunszt wokalny Jacka Różańskiego. Nic więc dziwnego, że niekiedy siła przyzwyczajenia do poszczególnych — trwale wrosłych w moją pamięć — fraz, intonacji, brzmień głosu w wykonaniu Różańskiego każe mi się początkowo buntować, kiedy ktoś proponuje mi inną wersję.

Wojciechowski śpiewa piosenki „Steda” bardzo lirycznie, subtelnie i delikatnie. Już pierwszy utwór wieczoru: „Nie rozdziobią nas kruki” zaskakuje niezwykłą miękkością, jakże odległą od gniewnie wykrzyczanych słów tego samego utworu przez Różańskiego. Trochę mniej to zbiło z tropu, ale prezentacje kolejnych piosenek udowodniły konsekwentny i bardzo dobrze zrealizowany zamysł interpretacyjny, który można określić mianem kameralnego ulirycznienia Stachury. Niezbyt potrzebne wydały mi się natomiast dość infantylnie i pretensjonalne (a przy tym czynione na siłę i bez powodzenia) próby nawiązywania przez aktora żywego kontaktu z publicznością.

Niektóre piosenki Wojciechowski kierował do wybranych osób na sali, inne do samego siebie, jeszcze inne traktował w kategoriach estradowych, zawsze jednak w tym samym kameralnym nastrój. Trzeba przyznać, że była to równie efektowna, jak efektywna „trójpołówka”, wykazująca duże zdolności aktorskie Wojciechowskiego. Szkoda, że nie można użyć tego określenia w stosunku do jego głosu, co zresztą znakomicie tłumaczy pomysł na ulirycznienie Stachury.

Podczas premiery (22 lipca) podziemia Ratusza świeciły pustkami. Zdumiało mnie to, bo na kabaret Hemara i składankę musicalową przychodzą tłumy widzów. Czyżby kultowy poeta pokolenia dzisiejszych czterdziestolatków był dla obecnej młodzieży tylko mało znaną postacią z najnowszej historii polskiej literatury? Czy bezpowrotnie minął już czas uniesień przy lekturze jego tekstów?

Odpowiedzi można poszukać w piosenkach noszących znaczące tytuły: „Czy warto?” i „Jest już za późno, nie jest za późno”. Dla tych piewów nowoczesności, którym do wyobraźni bardziej przemawia techniczna konstrukcja Brooklińskiego mostu, aniżeli romantyczna próba przemienienia ciemnej nocy w jasny, słoneczny dzień, rozterki duchowe „Steda” nie wydadzą się jednak niczym intrygującym. Ale im jest z pewnością obojętne nawet to, czy życie można utożsamiać z teatrem, czy też nie.

JERZY BUKOWSKI

Z teatru

Pewien rodzaj szczerości

STAŁ na scenie szczupły, drobny, niepozorny. W dzinsach i spranej flanelowej koszuli. Jeden z tłumy. Jeszcze jeden z tych, którzy żyją mitem czyjejś śmierci. Nie byłam mu przychylna, bo z zasady nie lubię jedzenia mitów, żerowania na cudzej biografii, a zwłaszcza jej tragicznym finale. W ogóle nie lubię tragicznych finałów u artystów. Pewnie to niesprawiedliwe — co piszę — ale zawsze wydaje mi się, że są wystudiowanym elementem gry, egoistycznym dążeniem idola do zawiadnięcia umysłami potomnych. Ktoż to już pokolenie wielbi śmierć Edwarda Stachury, oddając kupony od jego życiorysu? Stanowczo mi się to nie spodoba — myślałam — patrząc na piwniczną scenę: szara, zimna, ponura z niespodziewanym prześwitem na tylnym ścianie.

Ten chłopak w kraciastej koszuli zapalił „popularnego” (zawsze zaczyna się podobnie) i popatrzył na nas tak, jakby chciał się gwałtownie zaprzyjaźnić. Zaczął śpiewać znane teksty Stachury. Głos miał dobry, bardzo dobry. Wziął do ręki gitarę. I ani się spostrzegłam, kiedy słuchanie tego śpiewania przetykanego mówieniem, zaczęło sprawiać mi autentyczną przyjemność. O czym mówił i śpiewał? — O życiu w drodze, o ludziach, o miłości, o smutkach... Raz był wesoły, raz liryczny. No jak mam to Państwu opisać... Razem z nim na scenie było dwóch ludzi: muzyków. Akompaniowali mu Wiesław Murzański i Jerzy Kluźwicz, który aranżował też piosenki. Ich obecność nie ograniczała się wyłącznie do akompaniowania. Uśmiechnięci, czujni na impulsy idące ze sceny i widowni współtworzyli klimat tego bezpretensjonalnego przedsięwzięcia. Powinno powiedzieć, są dobrymi muzykami. — Owszem są, ale na równi z profesjonalizmem należy cenić to, że potrafili doinwestować piwniczną scenkę ciepłem i sympatyczną aprobatą poczyniła aktora.

Jacek, Wojciechowski, pewnie nie zagra Hamleta. Nie ma na to tzw. warunków, choć kto wie. Na scenie wszystko jest możliwe, a teatr nieustannie przecież płata niespodzianki. No, ale przypuśćmy, że nie zagra. Nic nie szkodzi. Sądząc po tym przedstawieniu, znajdzie dla siebie miejsce. Jak to jest — myślałam w drodze powrotnej do domu — tyle człowiek ogląda mądrych, inscenizacyjnie rozbuchanych spektakli teatralnych. Stoją za nimi nazwiska wybitnych reżyserów. I nic. Wyjdzie z teatru, zapomni... Aż pewnego wieczoru pokaże się na scenie chłopak z gitarą, nieśmiało popatrzy na widzów, zacznie mówić o rzeczach zwyczajnych. Nie będzie w tym ani wielkiej filozofii, ani zbyt wielkiej mądrości. Opowie taką sobie zwyczajną historijkę o przydrożnym losie. A gdy skończy widownia nie będą chcieli wypuścić go ze sceny. Dlaczego? — Przecież nie zawsze zrecznemu to wychodzi — zwłaszcza forma dialogu z widzem. Jacek Wojciechowski jest młodym aktorem

i wielu rzeczy jeszcze nie umie. Ale ma w sobie coś nie do podrobienia. Pewien rodzaj szczerości, prawdziwości. I tym wygrywa swój wieczór ze Stachurą.

ELŻBIETA KONIECZNA

Z opery

„Cyrulik sewilski”

ZNÓW zawitał do Krakowa uroczy gołobrodzista z Sewilli. Atrakcja to nie lada. Nie na próżno „Cyrulik sewilski” Rossiniego od stu kilkudziesięciu lat uważany jest w świecie za najpiękniejszą operę komiczną. Świetna muzyka: lekka, barwna, melodyjna, musująca humorem i werwą — a przy tym bardzo zreżymowane i dowcipne libretto. No i — jest to przecież operafenomen, bez precedensu w dziejach muzycznego teatru. Niech o tym poświadczy tylko kilka faktów: rzymski Teatro Argentina zawarł z Rossinim kontrakt na wystawienie nowej opery na półtora miesiąca przed jej zapowiedzianą premierą! Tyle było czasu na skomponowanie tej opery i próby. Obojętne, czy Rossini skomponował „Cyrulika” w osiem dni (jak twierdził jego przyjaciel, śpiewak M. García), w dwanaście czy trzynaście (jak mówił sam Rossini), czy przez dwadzieścia dwa (jak to wyliczyli skrzętni badacze); wybuch był to bowiem istnego wulkanu artystycznej wyobraźni i błyskawicznej techniki tworzenia. Klucz do tej zdumiewającej zagadki ma tylko jedno miano: geniusz. Tak, geniusz tego 23-letniego młodzieńca (tyle przecież lat miał wtedy Rossini), który doprowadził go na szczyty ówczesnej muzycznej sławy. Jak wielka musiała być podówczas siła przebiecia muzyki Rossiniego w Europie — gdzie przecież nie było jeszcze radia, kaset czy płyt kompaktowych — niech świadczy o tym jedna tylko anegdota: gdy w kilka lat później młody włoski maestro przyjeżdżał do Londynu ówczesne brytyjskie gazety publikowały rysunek-karykaturę, na której król Jerzy IV błagał na klęczkach Rossiniego, by raczył z nim duet zaśpiewać.

Nowe wcielenie „Cyrulika” w naszej Operze znać należy za przedsięwzięcie bardzo udane. Trzy główne filary sukcesu to: precyzyjne, z pietyzmem, ale i fantazją ukształtowane wypracowanie muzyczne w orkiestrze, chórach i w partiach solowych; zasługa to Ewy Michnik. Potem — reżyseria: dowcipna, potoczna, ze sporym zasobem pomysłów, celnym ustawianiem sytuacji, a bez modnych udrznień; dzieło doświadczonej ręki znanego śpiewaka i inscenizatora Sławomira Żerdzickiego. I wreszcie filar trzeci: garnitur, a raczej dwa garnitury (były dwie premiery) śpie-



waków, reprezentujących ogólnie poziom wysoki.

Spośród owego grona solistów na plan pierwszy wysuwają się tu: baryton Andrzej Biegun, budzący sympatię pełen temperamentu i talentów aktorskich, a zarazem bardzo dobry głosowo. Flaga: Dalej: Krystyna Tyburowska, której lekkie, wdzięczne sopran koloraturowy, miała aparycję i doświadczenia sceniczne, pozwoliły na stworzenie bardzo przekonującej artystycznie postaci Rosiny. Bożena Zawiała, która kreowała podczas drugiej premiery również Rosinę, tyle że w wersji mezzosopranowej pokazywała w tej roli wielostronne zalety swego pięknego głosu i witalność aktorską. Z sympatią obserwowałam też gościa z Warszawy, tenora Adama Zdunikowskiego, który wniósł w rolę Almavivy miły głos, sceniczną bystrość i inteligencję oraz autentyczną świeżość i młodość. Drugiego Almavivy, Janusza Dębowski, pochwalić trzeba przede wszystkim za muzykalność i równość wokalne emisji. Kreujący w drugim spektaklu osobę Figara Bogusław Szyński godny uznania za to, iż swój dramatyczny, barytonowy głos potrafił przestawić na lekkość i ruchliwość tej wokalne partii; z powodzeniem też realizował aktorsko tytułową, personę.

Nieco zastrzeżeń budził dwaj wykonawcy, którzy kolejno pokazywali się w roli Don Basilia: Wiesław Nowak i Aleksander Matwiejow; komizm został tu bardzo zredukowany, odsuwając tę ważną przecież postać na plan dalszy, nieledwie bezbarwny; wokale nie wykazywały tu poza przeciętności. Maria Domańska demonstrowała w partii Berty cenne walory charakterystyczne w grze scenicznej i śpiewie. Scenograficzny pomysł ulokowania domu pięknej Rosiny w „złotej klatce” trafny i w zamysle artystycznym i w funkcjonowaniu „obrotowej” sceny.

No i uwaga końcowa: spektakle „Cyrulika” miały gorące przyjęcie ze strony publiczności; sewilski fryzjer zapewne zagości u nas na długo.

JERZY PARZYŃSKI

Post scriptum: cenne to, że wystawiamy opery w ich oryginalnym języku tworzenia — czyli „Cyrulika” po włosku. Ale myślę, że szerszej publiczności trzeba zaprezentować „Cyrulika” bardziej

komunikatywnie: w języku polskim: jest tu przecież tak wiele, ginącego w wersji włoskiej, dowcipu słownego.

Opera Krakowska — „CYRULIK SEWILSKI”, opera Gioacchino Rossiniego, libretto C. Stérbini. Kier. muzyczne — Ewa Michnik, reżyseria — Sławomir Żerdzicki, scenografia — Jadwiga M. Jarosiewicz.

W pra Izy Wic

WISZACE w mieszkaniu pani Elżbiety Karkoski trzy jej portrety jako Hermii ze „Snu nocy letniej” (reż. Konrad Swinarski) przypomnieli mi o **IZIE WICINSKIEJ-DELEKIE**. Jej „Rysunki z teatru” utrwaliły wiele ról i postaci znanych krakowskich aktorów.

Pani Iza tworzy w swojej pracowni przy ul. Pułaskiego. Ostatnio wystawiła swe prace (8 obrazów: „Dyrygent”, „Akwarelści krakowscy”, „Przeznaczenie”) podczas sierpniowego „Salonu”. Obecnie tworzy diagle cykl „Moje role”. Spośród powstających naraż kilku obrazów najbardziej podobna mi się Babcia z „Tanga” S. Mroźka w reż. M. Górkiewicza. Jest także m. in. Matka z „Balladyny” ze scenografią Tadeusza Kantora; Luccietta z „Awantury w Chioggi”; Jadzia Ochotnicka z „Klubu Kawalerów” i Królowa Bona z „Farfurki królowej Bony” w reż. M. Biliżanki (namalowała ją by przypomnieć wspólny kostium Stopki). Iza Wicińska chętnie wraca również do

Migawki z list pi

PRZYWYKLIŚMY do tego, że o miejscu piosenki na listach przebojów decydują jej walory muzyczne — jest to przecież oczywiste. Jednak pojawienie się teledysków dodało utworom nowy wymiar — plastyczny. Miejsce piosenki na takiej liście jak np. MTV American Top Twenty Video Countdown jest warunkowane nie tylko jej „sluchalnością”, ale także (a może przede wszystkim) jej atrakcyjnością wizualną. Czasem zdarza się, że nawet słaba piosenka opatrzona ciekawym teledyskiem zachodzi wysoko. Nic dziwnego, że muzycy starają się jak najbardziej uatrakcyjnić swoje videoclipy.

Nawet tak wielka wykonawczyni jak Annie Lennox stara się jak może aby jej teledyski były ma-

lymi dziełami sztuki. Artystka, która niedawno rozpoczęła solową karierę albumem „Diva” pozyskała do teledysku „Walking On Broken Glass” samego Johna Malkovicha. Efekt jest rzeczywiście imponujący — trzyminutowy film kostiumowy z wartką akcją i wspaniałą obsadą. Sama Annie mówi, że śpiewa głównie o sobie — o tym co myśli, co czuje. Nie próbuje w radykalny sposób zerwać z przeszłością. Jej solowy album jest w pewnym sensie kontynuacją tego co robiła w duecie z Davem Stewartem jako wokalistka „Eurythmics”. Dwa single „Why” i wspomniany „Walking On Broken Glass” świadczą o tym, że Annie Lennox bynajmniej nie obniżyła swojego poziomu.

Zwołennikami zupełnie innego typu „teledyskowców” są członkowie grupy Metallica. Dotąd nieufni w stosunku do tego typu przekazu (do zeszłego roku wydali tylko jeden teledysk — do utworu „One” z płyty „...And Justice For All”) po wydaniu w lecie 91 roku albumu „Metallica” rozpoczęli prawdziwą karierę telewizyjną. Kolejne videoclipy: „Enter Sandman”, „Unforgiven”, „Nothing Else Matters”, „Sad But True” i „Wherever I May Roam” nie zachwycające może scenariuszami ale doskonale zrealizowane i zmontowane zdobyły wielką popularność zwłaszcza wśród fanów grupy, którzy dotąd nieczęsto mieli okazję oglądać swoich idoli. Przed końcem roku Metallica zamierza nakręcić dwa filmy — jeden będący zapisem trasy koncertowej, drugi dokumentujący pracę zespołu w studiu.

REM — zespół, który w 1991 roku zdobył 6 nagród MTV za teledysk „Losing My Religion” — utworu z albumu „Out Of Time” wydał ostatnio nową płytę „Automatic For The People” prawie w całości została nagrana „na żywo” w studiach w Nowym Orleanie. Jedyne dodatkowe efekty partii smyczków itp. zostały dobrane i zmiksowane później. Po

Piękno martwych natur

Włodzimierz Karankiewicz

POROZUMIENIE trzech zainteresowanych panów zaowocowało wystawą w urokliwej, piwnicznej galerii. Stale współpracujący z galerią Jacka Stawskiego (Rynek Główny 11) **WŁODZIMIERZ KARANKIEWICZ** gości u Dominika Rostworowskiego (św. Jana 20). Trzy sale prezentują 20 płócien z ostatniego roku. Są prawie bez wyjątku znakomite. U progu abstrakcji, czyli tuż przed zanurzeniem się w przestrzeni rozległej i pozabawionej konkretnymi rzeczami, artysta ustawia parę „poetyckich” rekwizytów. Królują czarne, fioletowe i białe konwie, o kształtach ślęczych stożków i walców. Są małe pekaty czajniki o smukłych nosach. Rosnie trójkąt piramidy, albo może góry — trochę tajemniczy z zarysem bardziej smakowitym jednak niż drażniącym skosem. Podziały płaszczyzny są u Karankiewicza klarowne i nieomyślne w prostocie. Barwa w kolejnych obrazach jest różna, chociaż zdaje się dominować przywiązanie do fioleto, szarości, czerni i żółci. Zestawienia raz to kontrastowe, raz w uspieniu gamy mglistej i łagodnej. Na płaskich płach rzucik rytmicznych (na przykład zielonych na

Biblia po hindusku

POD Wawelem gościli ostatnio egzotyczni goście — dr Francis Barboza z Bombaju ze swoją grupą taneczną. Wystąpili w Bagateli, przy sali zapelnionej głównie przez siostry zakonne i księży w koloratkach. Jak powiedziała występująca w roli



Światło

Znana aktorka i modelka **MARGOT** (dawniej Margaux) **HEMINGWAY** nieoczekiwanie od 1989 r. nie pojawiała się na ekranie. Okazuje się, że przerwa ta została spowodowana tym, że na skutek nadużywania alkoholu i narkoty